Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 23. Stycznia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 4.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

— Chciałabym nareszcie widzieć kiedy tego Dumcia — mówiła wesoło panna Iza.

— Przywiozę go — pochwyciłem. — Na drugiej wizycie oświadczy się — pani mu odmówisz i stosunki zerwane.

— A gdybym też przyjęła!

Powstał ogólny śmiech.

— Dzieją się rozmaite kaprysy w naturze i życiu ludzkiem — odparłem.

— Zaraz pan ze swoją filozofją. — Nie przyjmuję projektu, gdyż mówiąc o Dumciu idealizujesz go pan.

— Tylko go kopiuję — przerwałem.

— Przyznasz pan, że oryginały i komiczne figury przy bliższem poznaniu są nudne — gdy w powieściach wyglądają wybornie.

— Podzielam zdanie Izi — zawyrokowała mama.

— O i ja — pochwyciła Adela — naprzykład Balzac ze swemi typami jest nieporównany.

— A ja — rzekł pan Samuel — radbym mieć naprzykład dziś u stołu — Dumcia, dla samej ciekawości coby powiedział o trzeciem daniu.

— Z pewnością zapatrzony w pannę Izę nie wiedziałby co je — rzekłem poważnie.

— Byłby to pierwszy wypadek w mojem życiu. A pewnie i w życiu Dumcia — odparła Iza.

— Ależ moja Iziu przypomnij sobie Paryż i table d'hôte w Grand-Hôtel. Ten dystyngowany młody człowiek przez cały obiad nic nigdy nie jadł mając cię na vis-à-vis — mówiła pani Klementyna.

— Prawda, prawda pochwyciła Adela.

— Tego nie rozumiem — rzekł pan Samuel — można przecież kochać się do szaleństwa, a przytem mieć zawsze apetyt na dobre rzeczy.

Pani Klementyna westchnęła, panna Iza chcąc zwrócić rozmowę, rzuciła mi wesoło pytanie:

— Przechodzimy do szczegółów a mianowicie do tualet dam.

— O tem nie mam pojęcia — tłómaczyłem się.

— Spróbuj pan tylko.

Spróbowałem i dobry humor doszedł do zenitu — gdy wtem przyniesiono trzecią potrawę. Zrobiła się cisza, powszechna uwaga zwróconą została na półmisek.

— Oto są styryjskie kapłony z kremem z pieca — podlane nie bulionowym sosem, jakby się zdawało, lecz truflami. Inwencja Kozickiego wyrozumowana przezemnie — wygłosił poważnie dziedzic Wronowa.

— Kombinacja dość szczęśliwa — pierwsza zabrała głos pani Klementyna kosztując.

— Jakież zdanie Izi? — zapytał papa rzucając ciekawe spojrzenia na półmisek.

— Kombinacja mogąca mieć przyszłość — odparła panna Iza.

— Ależ wyborna, znakomita, świetna— zawołała z entuzjazmem Adela.

— A teraz nareszcie i ja dam swoje zdanie — rzekł zmęczony oczekiwaniem papa Samuel — zabierając z półmiska piersi kapłonów styryjskich i trufle.

Jednogłośny wyrok oddał cześć inwencji Kozickiego, wyrozumowanej przez pana Samuela.

Pani Klementyna westchnąwszy kazała sobie podać półmisek po raz drugi. Za jej przykładem bez żadnych westchnień poszedł małżonek. Podano lody i dobry humor przerwany wydaniem wyroku, zapanował stanowczo w naszem małem kółku.

— Lecz cóż pan zrobisz z prezentem ofiarowanym ci przez papę Trybulskiego i Dumcia? — zagadnęła panna Iza.

— Jest tak ładny i milutki — odrzekłem — że prawdziwie się waham.

— Wahasz się pan? — powtórzyła pani Klementyna zdziwiona — wahasz?

— I dodaj pan — przerwała mamie Izia — dużo pociągający, ze względu, że do prezentu przybędzie sam ofiarodawca— do tego mama, pamiętaj Piekarska z domu i arystokratyczną Gieńcia.

— Lecz prezencik jest tak milutki i ładny...

— Że pana nie odstraszają dodatki— kończyła Izia.

— Zaczynam się z niemi oswajać. Są to dobrzy ludzie, i kochający swe dzieci rodzice.

— Śmieszność ich nie przeraża pana.

— Ze względu, że prezencik jest tak milutki i ładny, nie...

Mówiąc to obserwowałem nieznacznie pannę Izę — chcąc z rysów twarzy odgadnąć, co się działo na dnie jej serca.— Niestety ani jeden muskuł na bladej twarzy nie zadrgał — najmniejszego sfałdowania czoła, ściągnięcia brwi; — zdawało się, że nie dostrzegłem nawet mrugnięcia okiem. — Pustynia — wydmuch — powiedziałby Dumcio.

Było mi przykro, bardzo przykro a nawet przyznam się cierpiałem — zepsuty wczorajszem powodzeniem i dzisiejszemi pochwałami Rzepeckiej — po prostu oburzony byłem na pannę Izę. Cała okolica mówi głośno o mych stosunkach z Wro-

nowem, Dumcio na całe gardło o tem krzyczy a tu...

— Patrzcie i zamyślił się — przerwał chwilową ciszę pan Samuel, wyszukując najlepsze cygara z porte-cigare.

— Pewnie pan miałeś widzenie — rzekła panna Iza — jakoby Piekarska z domu trzymając Fruzię na kolanach zwróciła się do pana z sakramentalnem zapytaniem gier towarzyskich. Co mam z tym fantem robić co go trzymam na — na kolanach?

— Wybornie, wyśmienicie — wygłosiła Adela.

— To się Izi udało — dodał pan Samuel.

— Ależ posłuchajcie odpowiedzi pana Ignacego — mówiła pani Klementyna.

Zarumieniłem się z gniewu, gdyż ton panny Izy i jej uśmiech ranił mnie.

— Niech będzie panną młodą — powiedziałem poważnie jak trybun.

Swietna — zawołała Izia — i panna Eufrozyna, gdyż w obecności pańskiej tak już powinniśmy się wyrażać, wybrałaby pana na pana młodego — potem przyszłaby kolej na drużbów. Dumcio byłby pewnie pierwszym pańskim drużbą — i na druchnę prosiłby arystokratyczną Gieńcię.

— Wszystko się wybornie układa — mówiła Adela zachwycona dowcipem swej uczennicy. Pani Klementyna uśmiechała się.

Wstaliśmy od stołu wracając do salonu, a że rad byłem ukryć rozdrażnienie— siadłem do fortepianu.

— Chwilkę cierpliwości — przerwał pan Samuel, wszystko systematycznie. André przynieś czarną kawę i zamknij drzwi, otworzywszy okno na ogród. Zasiądziemy wygodnie i niechaj wtenczas pieśń płynie.

Tak się też stało. Panna Iza usadowiła się w fotelu tak, że mogła tylko patrzeć na zielone drzewa i lazur nieba — a to Adela i pani Klementyna — łaskawie wpatrywały się we mnie. Pan Samuel pił czarną kawę i z pewną rozkoszą i smakiem palił cygaro.

Grałem zapamiętale, dziś tylko Liszta i Chopina. Lisztem chciałem poszarpać własne serce, a Chopinem je goić... Po skończeniu muzyki:

— Przeżyliśmy rozkosznie godzinkę — odezwała się pani Klementyna.

— Panie Ignacy! zawieszenie broni, a nawet pokój zupełny — mówiła panna Iza wyciągając do mnie rekę. Życie tak krótkie i czyż go nie szkoda? (Pani Klementyna westchnęła). Pan tylko nudy wronowskie rozrywasz. (Pani Klementyna jeszcze mocniej westchnęła). A zatem przywoź pannę Trybulskę jako panią Ignacową i żyjmy w zgodzie! Mówiła tak zimno i obojętnie, że aż mnie dreszcz przeszedł.

— Zgoda — zawyrokował gospodarz domu —głosuję za zgodą. Jesteś pan niezbędny, a zatem wolno ci teroryzować nas. Konie w tej chwili staną przed gankiem, a powóz dla Klimci. Bawcie się i do widzenia. — Pan Samuel wymknął się z pokoju, na półgodzinną drzemkę.

— Uosobiona systematyczność — odezwała się pani Klementyna.

— Tem lepiej, będzie dłużej żył — odparła Adela.

Panna Iza zamyślona patrzała bez przerwy na zielone drzewa i błękit nieba — gdy Adela jakoś dziwnie na mnie mrugnęła, pokazując oczami Izę — i dla tego zacząłem się wpatrywać w tę bladą, gładką twarz i duże ciemne oczy. Patrząc tak długo — długo, dopatrzyłem się nareszcie lekkiego ziewnięcia.

André oznajmił, że konie czekają. — Panna Iza pobiegła się przebrać — pani Klementyna wyszła po kapelusz i szal. Zostaliśmy z Adelą sami.

— Panie Ignacy — mówiła mi szybko a cicho, nie masz pan pojęcia, o ile jestem pańską przyjaciółką — i radzę panu korzystaj pan. Serce Izy wolne, nie ma nikogo; zagranicę mogą zaledwie wyjechać za dwa lata. Iza znudzona, skończyła już dwudziesty rok, radzę korzystaj pan.

— Ależ droga pani — nie chcę wyzyskiwać niczyich nudów na mą korzyść.

Weszła pani Klementyna we wspaniałej, a wielkich wymiarów berżerce i szalu na ręku. Za parę chwil ukazała się panna Iza w męzkim kapeluszu, trzymając w jednej ręce spodniczkę amazonki, w drugiej pejcz.

— Jedziemy!

André podał mi pejcz pana Samuela, kapelusz i rękawiczki. — Mama z Adelą siadły do powozu — ja podstawiłem dłoń, na której panna Iza stanęła swym bucikiem, siadając na konia. Następnie sam dosiadłem wierzchowca pana Samuela i ruszyliśmy naprzód, zostawiając powóz daleko za sobą.

— Wyobrażajmy sobie, że jesteśmy w Hyde Parku — mówiła z uśmiechem i jak na pannę Izę dość wesoło.

— Trudno mi sobie wyobrazić, gdyż w Londynie nie byłem — odparłem.

— Żałuję pana. Tysiąc tam amazonek harcuje w tej chwili. Pan co tak lubisz konie i jesteś bezwzględnym czcicielem piękności... dowodem Fruzia. — Wyobraź pan sobie, że i ja wśród tych sławnych woltyżerek, nie wyglądałam bardzo niezgrabnie.

— Jeździłaś pani?

— Nawet na swym własnym koniu. Ojciec mi go kupił. — Nie opuszczałam też prawie żadnego dnia. Wyjeżdżając z Londynu, konia musiałam sprzedać. Wyobraź pan sobie, że straciłam na nim zaledwie parę funtów. — To znak, że nie źle jeżdżę. Hyde park zostanie mi wspomnieniem na całe życie.

— Dziwię się więc, dla czego pani dziś naprzykład nie jesteś w Londynie...

— Ależ tylko dla tego, że nie mogę! Jeżdżąc prawie co rok wydaliśmy nieco więcej, niż nam wolno, za karę pokutować trzeba jeszcze lat dwa we Wronowie. Pan tylko nam osładzasz więzienie.

— Wronów pani nazywasz więzieniem — zapytałem zdziwiony.

— Ależ przedewszystkiem podzielam zdanie, nie wiem już przez kogo powiedziane, że człowiek jest towarzyskiem zwierzęciem — i, aby żyć, potrzebuje ludzi.

Tuż zaraz za laskiem kłęby białego dymu buchnęły.

— Pali się — szepnąłem. Jestem nieco wrażliwy na nieszczęścia. Lud nasz nie umie się ratować. Wracaj pani do powozu. Podniosłem pejcz do góry — koń skoczył.

— Zaczekaj pan — pojedziemy razem.

Panna Iza poprawiła się na siodle — pochyliła naprzód i popędziliśmy co konie wyskoczyć mogły. Za laskiem ciągnęła się drogą w półkole wioska. — W samym prawie jej środku — dwie chaty stały w płomieniach — lud się gromadził, kobiety zawodziły i płakały, wynosząc z chat drobiazgi. Dopadliśmy do ognia. — Objąłem natychmiast komendę. — Lud w razach niebezpieczeństwa z chęcią poddaje się pod władzę, słuchał i spełniał rozkazy. Panna Iza nie zsiadając z konia pełniła obowiązki mego adjutanta.

Trzecia chata się zajęła. Należało wytężyć wczystkie siły, aby uratować wieś. Pracowaliśmy zawzięcie rozrywając płoty, oblewając sąsiednie chaty i stodoły wodą wśród wrzasków, przerażenia, płaczu i zamętu... Panna Iza zdradzała dużo odwagi i energji — koń się płoszył — kapelusz jej zerwał wiatr i rzucił w płomienie, a jednak wytrwała, spełniając me rozkazy z godną zazdrości stanowczością.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TROILUS i KRESSYDA

DRAMAT SZEKSPIRA

STUDIUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

(Dokończenie.)

Toż samo Kressyda, którą autor aby upadek jej mniej raził, z wielkim taktem przedstawia jako zmysłową, poziomą, a przytem zimną i oględną niewiastę, która katechizm swój w tych słowach streszcza: „Baczność, kobieta jest dla mężczyzny aniołem dopóki o nią się stara, gdy ją ma, wnet jej syt będzie. Kochanka niech pamięta, że tylko to co nie uzyskał jest dla niego w cenie. Kto nas nie ma, ten błaga, kto ma, rozkazuje“ (1 akt 2-ga scena). — Więc taż Kressyda ma chwile, gdzie jakby magnetycznie owładnięta wznosi się do miary swego kochanka. Można wierzyć w szczerość jej słów, gdy podczas schadzki z Diomedem, tenże pamiątkę, którą ma od Troila, wyłudzić jej chce, a ona mu na to odpowiada: „On kochał mnie, mnie niegodną. Droga pamiątko, dawca myśli o tobie i wzdycha. Nie żądaj jej odemnie, kto mnie jej pozbawi, pozbawi mnie i serca mego.“ (akt 5-ty scena druga). Tyle o *romansie Troila z Kressydą*, który z Iliadą stoi w związku bardzo słabym i powierzchownym, a na parodję nie wygląda.

Przechodząc do *Epopei Homera*, i jej szeregu bohaterów, których wszystkich Szekspir na scenę wyprowadza, przedewszystkiem należy uskutecznić niejako rozkład kompozycji jego i ustępy poważne oddzielić od tych, gdzie poeta puszczając wodze satyrycznej żyłce swojej, raz główne sprężyny akcji, to znowu najwybitniejsze

w niej występujące osobistości, raczej wady ich i śmieszności na scenę wprowadza. *Poważne ustępy* nie wiele miejsca zajmują, lecz jeżeli są własnością Szekspira, należą do najpiękniejszych, które z pod pióra jego wyszły.

Przedewszystkiem rozmowa Agamemnona z Nestorem i Ulissesem. Mowa Ulissesa o klęskach towarzyszących wielorządowi jest piękną i treściwą amplifikacją tych słów Homera: „Mężowie Achaji! przecież nie możemy być wszyscy królami. Wielorządy nigdy udać się nie mogą. Jeden niech będzie panem, jeden królem; tegoż syn Saturna obdarzył berłem, i dał mu prawo władać nad innemi“ (Ilias śpiew drugi). Ale i *Dante* odzywa się w mowie Ulisessa: „nieba, mówi, gwiazdy i ziemia mają w położeniu, biegu, porach roku pewny porządek i stopniowanie nieodmienne. Nad temi wszystkiemi sferami tronuje majestatycznie słońce w okręgu swoim *).“

Ale co Szekspir nie przejął z Iliady, to słowa mądrości jakiemi Agamemnon usiłuje uśmierzyć niecierpliwość Greków nad długiem obłężeniem Troi. „Zamiary, mówi, daleko sięgające, gdy przyjdzie chwila ich urzeczywistnienia, nie spełniają się szybko, jak to mieni nadzieja. W żyłach górnolotnych czynności, gnieżdżą się zapory i klęski... Bóg Zeus na próbę nas wystawia, czyli wytrwałość mieści się jeszcze w człeku. Ale szczerość tego kruszcu nie wychodzi na jaw, póki szczęście nam sprzyja. Natenczas bohater i tchórz, mędrzec i głupiec, uczony i nieuk, wszyscy sobie równi. Dopiero gdy fortuna odwróci się i ześle swoje grzmoty, następuje rozbrat na wielkie rozmiary. Lekka plewa ulatuje. To tylko co ma rdzeń i wagę zostaje nietkniętem.“ (1 akt 3-ia scena).

Słowami mądrości są także mowa starca Nestora, i napomnienia Ulyssesa, co do wczesnych i bezpodstawnych nagan wodzów. „Ci krytycy, mówi Nestor, drwią z wszelkiej rachuby, nie liczą rozumu do niezbędnych przyrządów wojennych, lichą pracę umysłową, która oblicza z jaką siłą i kiedy na nieprzyjaciela uderzyć wypada, która długo śledzi ile ważą siły jego, nazywają oni wojną gabinetową.“ Są to wszystko maxymy, które nie mówiąc nawet o sile i malowniczości wyrazu, póki świata, zawsze wartość swą mieć będą.

Ale nawet tajna policja państwowa otrzymuje z ust Ulissesa cześć należytą: „Baczność, mówi, w państwie dobrze rządzonem zna każde ziarno prawie wydobyte ze skarbów Plutona, wdraża się nawet w tajniki duszy. Siła tajemnicza żyje w organiźmie państwa“ (akt 3-ci 3-cia scena).

Jakże głęboko pomyślane, a dające nawet zastosować się do naszych czasów, jest napomnienie, które w tej samej scenie daje Ulisses Achilesowi, jak niebezpieczną ułudą jest chcieć żyć tylko ze swojej dawnej sławy. „Czas, mówi, nosi wór na plecach, aby składać do niego okruszyny zapomniane. Staje się to potem potworem niewdzięcznością wzdętym. Okruszynami są to wielkie czyny, zaledwie dokonane, już i zapomniane. Przeszłe czyny szybko z mody wychodzą, wyglądają jak puklerz zardzewiały na wystawie. Żyj dla teraźniejszości.“

Będzie tu także uwaga na swem miejscu, iż należałoby wyśledzić, z jakiego źródła wziął Szekspir „thesis“, która w tej samej scenie jest przedmiotem rozmowy Achilla z Ulissesem, że się nie jest właścicielem jakiego przedmiotu dopóki się z niego coś drugiemu nie udzieli. On bowiem tu na autora się powołuje.

*) Ustęp ten znajduje się w Boskiej komedji Dantego «Piekło śpiew siódmy.»

Parodja Iliady.

Szekspir zamierzając stworzyć coś podobnego do parodji Iliady, ze zwykłą mu przenikliwością uznał, że jeżeli co w tym poemacie parodjować da się, to dwie główne sprężyny akcji, *porwanie Heleny* i *nieczynność Archilesa.*

Pierwsza, która spowodowała wojnę trojańską, i w Iliadzie przedstawia się już jako fakt dokonany, o tyle tylko parodiować da się, iż zdarzenie tak mało przez się znaczące wywołało takie następstwa. Król królów, a zanim cały szereg bohaterów, stanęli na czele wyprawy; nie dość na tem, Bogowie Olimpu wzięli w niej udział.

Tu zaś Szekspir zbył parodię płaskiemi i oklepanemi dowcipami, które wiją się przez cały poemat jak n. p., „że Parys potrącił o róg Menelausa, albo biada ludziom co o spodnicę wojnę wydają... Cała sprawa toczy się o męża oszukanego i lubieżnicę... Menelaus praojciec wszystkich rogatych mężów..

Wielu z tych dowcipów nie podobna nawet przytoczyć. Obszerniejsze pole a przytem godniejsze poety przedstawia nam nieczynność Achillesa. Ale i tu parodja, choć często udała, całość jednak nie dosyć wyrobiona, a zamiast żartu, trafia się nieraz na gorycz i obelgę. Początek dobrze zwiastuje. Przedewszystkiem jest to w duchu parodji sprytnie obmyślanem, że najpierwsi wodzowie uznają wyższość Achillesa.—„Ów bohater, mówi Ulisses, na którego wszyscy wskazują jak na jądro i najsilniejsze ramię armji.“ Gdy Hektor zsyła do obozu Greków pozew na pojedynek, Nestor i Ulysses nie przypuszczają aby mógł się stawić inny niż Achiles. „Kogoż mamy prócz niego, któryby mógł stawić Hektorowi czoło.“*)

Kontrast komiczny do tej wziętości i powagi stanowi nieczynność Achillesa, który w niezachwianej wierze w swoją acz ulotną sławę, leży nieczynny w namiocie i raduje się, gdy Patrokles wszystkich wodzów greckich przedstawia w karykaturze (akt 1szy scena 3cia).

Toż samo jego zarozumiałość. „Achilles, mówi Ajaks. ma lwią chorobę, choruje na dumę. Wolno nazwać to melancholją, ale głowę daję, że to jest dumą.“

Poselstwo Agamemnona w celu przebłagania gniewu jego (3cia scena 3ci akt), wzięte z 9ej pieśni Iliady, sparodiowanem zostało tylko w niektórych ustępach, i to dość dziecinnie.

Dalej idzie Szekspir za własnem natchnieniem i mowa Ulisessa, (o której wyżej była wzmianka) wytrzymać może śmiało porównanie z mową w Iliadzie i jest nawet w niektórych ustępach dobitniejszą i trafniejszą.

Tu kończy się parodja, a zaczyna *paszkwil*, bo wielki geniusz Szekspira nie znał miary. Łagodny Troil, w ostatniej scenie poematu apostrofuje Achillesa: „Ty ogromie tchórza.“ Przyjaźń, która łączy Achilesa z Patroklem, jeden z najcelniejszych epizodów w Iliadzie, niespożytej piękności przedmiot powszechnego uwielbienia, Szekspir nie waha się przedstawić z najohydniejszej strony, w wyrazach pełnych pogardy dla Patrokla, a obełg dla Achilla. Piękną i przez Homera unieśmiertelnioną walkę Achillesa o ciało Patrokla, przeistacza on w ten sposób, że w chwili gdy Hektor, aby wypocząć składa miecz na bok, Achilles go napada, Mirmidonom swoim zabić go każe, a na zakończenie wykrzykuje: „Trojo zapadaj się, Achilles zabił Hektora.“ (akt 5ty str. 9ta). Nienawiść owa, z którą Szekspir prześladuje Achillesa jest rzeczywiście fenomenalną i wartoby śledzić, czy czynił to z własnego natchnienia, czy też szedł za jakim wzorem.

*) Pozew ów wyjętym być musi z jakiej średniowiecznej lub włoskiej z czasów odrodzenia epopei, bo treść główna tak opiewa: (akt 1szy scena 3cia) jeżeli między najcelniejszemi z Greków znajduje się jeden, komu droższa cześć nad życie, który damę swą kocha, nietylko słowy, tego wyzywam. Hektor, chce Troi i Grekom dowieść, że ma żonę wierniejszą, mądrzejszą i piękniejszą niż kiedy bądź miał Grek w swem objęciu.»

Zagadkową postacią jest także drugi bohater, Ajax syn Telamona. Ta postać w Iliadzie nie nadaje się do parodji. Ale sprzeczność w charakterystyce, która tu się objawia, złośliwość, znamionująca niektóre ustępy, wskazują, że Szekspir miał na oku osobistość współczesną, do której czuł żal głęboki, co też przy każdej sposobności wynurza.

I tak tak kiedy Ulysses mianuje Ajaxa idjotą, Nestor przeciwnie, piętnuje jego zarozumiałość, że we wszystkiem małpuje Achillesa, jak tenże leży nieczynny w namiocie swoim, szczuje Tersitesa na wodzów, i szydersko wyrokuje o sposobie prowadzenia wojny.

Nakoniec podrzędne indywiduum, sługa Kressydy, taki obraz Ajaksa kreśli (akt 1szy scena 2ga). „Ten człowiek jest odważny jak lew, nieokrzesany jak niedźwiedź, oględny jak słoń

Natura go tak kapryśnie uposażyła, iż odwaga u niego zmięszana z szaleństwem, a szaleństwo z rozumem. Jest smutnym i wesołym, jedno i drugie bez powodu. Bierze się do wszystkiego, ale wszystko co robi jest tak nieudatnem, że wygląda jak robota olbrzyma, co ma pedogrę, wiele rąk ale żadnej do użytku, wiele ócz, a żadnem nie widzi,“ etc. etc....

Mamy nadzieję, że ten acz słaby rozbiór zagadkowej kmpozycji, da pochop do dalszych w kierunku wskazanym śledztw, i wyjaśni ostatecznie przedmiot, który już tylu krytyków zajmował.

ZJAWISKA FOSFORESCENCJI.

Szczególne zjawisko wydawania światła w ciemności przez różne ciała organiczne, a zwłaszcza przez tak zwane robaczki świętojańskie (*Lampyris nocticula*), zajmowało od dawna w najwyższym stopniu świat uczony, ale dostatecznego wyjaśnienia jego dotychczas nie mieliśmy.

W ostatnich czasach przedsięwzięto szereg doświadczeń, który rozjaśnił do pewnego stopnia ten proces i dzięki im wiemy już dzisiaj, jaka jest przyczyna tego zjawiska i przy jakich warunkach ono powstaje.

Wiadomo — oto są słowa dra Gustawa Fritsche—iż przyrząd świecący robaczków, o których mowa, składa się z żółtawej masy, mieszczącej się

*

a brzuchu, pomiędzy piątym, szóstym i siódmym erścieniem brzusznym. Masa ta pokryta jest enką błonką. Pod mikroskopem badana, przed- awia się ona jako składająca się z pojedyń- zych zrazików, w których dostrzegać się dają ielkie komórki; do środka każdego z owych razików prowadzi kanalik, będący odnogą tcha- icy i doprowadzający do niego powietrze.

Światło robaczka świętojańskiego bardzo st silne, tak, że może być dostrzeżone w odle- łości 150 do 200 metrów; przedstawia nieco odobieństwa do światła wydawanego przez sfor, jakkolwiek różni się od niego tem, iż arwy jest zielonawej, kiedy światło fosforu jest ółtawe.

Powierzchnia świecąca robaczka świętojań- kiego nie jest jednostajną, lecz przedstawia unkta jaśniej i ciemniej świecące. Świecenie ych zwierzątek odbywa się tylko w nocy, a rzy ich zgnieceniu wydziela się zapach, który ylko z zapachem cebuli da się zestawić.

Świecenie zwierzątek jest zjawiskiem za- leżącem wyłącznie od ich woli i to utrudnia bar- zo wykonywanie nad niem doświadczeń; na szczęście przekonano się, iż można za pomocą rażnienia elektrycznością wywołać takie świe- enie, które następuje jednak nie wcześniej, jak 6 lub 8 sekund po puszczeniu prądu elektry- znego.

Za najlepszy dowód, iż świecenie jest zja- wiskiem własnowolnem, służy doświadczenie, którem przecięto połączenie ze zwojami gło- vowemi (zastępującemi u tych zwierzątek mózg); wierzątko przestawało w takich razach świecić łasnowolnie, wywiązywało się jednakże świa- lo pod działaniem prądu elektrycznego.

Bardzo zajmujące są doświadczenia, w któ- ych zamykano żywe robaczki w rozmaitych azach i za pomocą elektryczności starano się nich światło wywołać. Doświadczenia te mia- y nadzwyczaj doniosłe znaczenie, przekonały as bowiem, iż obecność tlenu jest niezbędnym wiecenia warunkiem. Ile razy umieszczano ro- aczki pod kloszem napełnionym tlenem, powie- rzem lub mieszaniną tlenu z innemi gazami, za- wsze można było wywołać światło prądem elek- rycznym, tymczasem w atmosferze z kwasu wę- lanego, azotu, wodoru lub t. p. świecenia nie yło.

Z przytoczonego wyniku owych doświad- zeń wywieść się da przypuszczenie: iż organ świecący wyrabia jakieś ciało, które łącząc się tlenem powietrza, wydaje światło, nie przedsta- wiające jednak najmniejszego podobieństwa z światłem elektrycznem, które powstaje bez żadne- go współdziałania tlenu. Ciało wydzielające się w ten sposób nie może być płynne, ponieważ w owych zrazikach nie widzimy żadnych kanalików wyprowadzających, lecz musi mieć postać gazu. Chemja dzisiejsza uczy nas: że gazem takim nic innego być nie może, jak tylko połączenie fosforu z wodorem, jakkolwiek dotychczas nie dało się na drodze analizy wykryć to ciało w komórkach organu świecącego. Fakt ten ła- two da się tem wytłómaczyć, iż gaz ów palący się nie znajduje się w zapasie, lecz prawdopo- dobnie wydziela się za każdym razem pod wpły- wem woli zwierzęcia lub prądu elektrycznego.

Przekonano się też, iż komórki powinny żyć, żeby światło wydawać. Świecenie ustawało zawsze, ile razy komórki organu świecącego zostały dokładnie zgniecione, zmiażdzone. Rów- nież świecenia już wywołać nie można, jeżeli komórki świecące zatrute zostały jaką silną trucizną.

Jeżeli w czasie świecenia robaczków, pod- damy je działaniu eteru — światło ustaje; na- koniec przy dłuższem doświadczeniu na jednym objekcie, spostrzegamy objawy znużenia, jak to w ogóle w zjawiskach będących pod wpływem nerwów widzieć się daje.

Takie są rezultaty ostatnich doświadczeń nad tem ciekawem zjawiskiem natury; wyka- zanie na drodze analizy chemicznej fosforu lub inego ciała w komórkach organu świecącego, roz- strzygnęłoby ostatecznie tę kwestję.

* * *

Rozleglejsze daleko i nadzwyczaj intere- sujące i pouczające doświadczenia nad fosfores- cencją ciał organicznych i uorganizowanych w ogóle, przeprowadził u nas sz. profesor chemji na uniwersytecie lwowskim, dr. Bronisław Ra- dziszewski, a rezultaty, do których doszedł, bardzo są ważne i doniosłe.

Za przedmiot doświadczeń swoich nie obrał on sobie wyłącznie świętojańskich robaczków, jak Phipson, Jousset de Bolesme i inni, lecz zajął się fosforescencją wogóle, to jest własno- ścią, którą posiadają niektóre ciała organiczne, oraz pewne istoty żyjące (z królestwa zwierzę- cego i roślinnego) wydawania przy pewnych oko- licznościach światła.

Prof. Radziszewski przedewszystkiem do- wiódł, iż bardzo wielka ilość ciał organicznych w obecności alkaljów i tlenu świeci.

Bierze np. olejek terpentynowy, miesza z pewną ilością połączenia sodu *(Natriumhydro- xyd)*, ogrzewa to wszystko do 120° C., a zja- wisko fosforescencji okazuje się w ciemnej prze- strzeni w całej okazałości; jak tylko od mię- szaniny powyższej oddalił sod, fosforescencja na- tychmiast ustawała.

Tłuszcze, oleje, produkta smoły gazowej (benzol, toluol etc.), cukier gronowy, tran rybi, alkohole i mnóstwo innych ciał, których tu wy- mieniać nie będziemy, posiada w wysokim sto- pniu własność świecenia w ciemności.

Wszystkie te ciała posiadają własność uwięzienia t. zw. czynnego tlenu, z którym łą- czą się one w obecności alkaljów i wydają świa- tło mniej lub więcej silne, nazwane fosfores- cencją.

Najprawdopodobniej, połączenie pojedyń- czych atomów tlenu z ciałem palnem wywołuje podniesienie temperatury w miejscach, gdzie róż- norodne te cząsteczki z sobą się zetknęły, a w miarę tego, jak połączenie to na pojedyńczych punktach lub na całej powierzchni się odbywa, nazywamy to zjawisko fosforescencją lub pa- leniem.

Że świecenie takie odbywa się nie na całej powierzchni, lecz na niektórych punktach, prze- konał się o tem Quatrefages, badając ciała świe- cące mikroskopem powiększającym 150 razy.

Jak tylko fosforescencja słabnąć zaczyna w płynie, o którym była mowa, można ją napo- wrót wywołać przez potrząśnięcie naczynia lub inne zamięszanie płynu.

Przeprowadziwszy w ten sposób szereg do- świadczeń nad fosforescencją ciał organicznych, prof. Radziszewski stwierdził fakt, iż światło przez ciała te wydawane, jakością wcale się nie różni od światła wydawanego przez żywe istoty.

Wszystkie zwierzęta lądowe i wodne, któ- re fosforescencją się odznaczają, wydają świa- tło białe, z pewnym odcieniem żółto-zielonawe- go koloru; wszystkie płyny przez prof. Radzi- szewskiego obserwowane, wydają światło takiegoż samego koloru.

W dalszym ciągu dwodzi iż fosforescen- cja, która u zwierząt daje się widzieć, jest zja- wiskiem zupełnie takiem samem, jak to, które on na swoich mięszaninach obserwował, w czem zresztą nie staje w żadnej sprzeczności ze swo- imi poprzednikami, którzy na tem samem polu pracowali

Na powierzchni ciała zwierzątka wydziela się jakieś ciało organiczne, które łącząc się z tlenem wydaje światło.

Widzieliśmy powyżej, iż obecność alkaljów w tym razie jest konieczna; otóż prof. Radzi- szewski przekonał się, iż niektóre zasady or- ganiczne zastąpić mogą alkalje a wynalazek ten rzuca nowe światło na cały proces fosforescen- cji u zwierząt wogóle a zatem i u robaczków świętojańskich w szczególności.

Z SZEWCZENKI

DO ZORZY.

Ach ty zorzo moja śliczna
Na wieczornem niebie!
Wiele chciałbym dowiedzieć się
Wśród obcych od ciebie.

Ach! opowiedz, jak za górą
Słonko tam zachodzi,
Jak tam w Dnieprze jaskółeczka
Dzióbek macza w wodzie.

Jak czeremcha rosochata
W kwiat się ustroiła,
A nad wodą wierzba smutna
Czoło pochyliła;

I po wodzie rozesłała
Gałązki zielone,
By się na czem chuśtać miały
Dziatki nieochrzczone.

Jak na polu u mogiły
Wilkołak nocuje,
A po lesie puszczyk huczy
I śmierć prorokuje,

Jak sen-trawa na dolinie
Po nocy rozkwita...
A o ludziach?... co mi do nich!
Znam ja ich do syta...

O znam dobrze.. Zorzo moja!
Kochanko jedyna!
Ach! ty nie wiesz, co się robi
Tam, gdzie Ukraina.

Ja wiem i opowiem tobie,
Nim się spać położę,
A ty jutro cichuteńko
Bogu szepniesz może.

L. Sowiński.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mieliśmy w tych czasach dwie wielkie ankiety: Zbożową we Lwowie i Naftową w Tarnowie. Pierwsza miała ten skutek, że szlachta nabrawszy animuszu do interesów, zdecydowała się założyć spółkę rolniczą pod nazwą „Bank Rolniczy"; przemyslowcy zaś i ekonomiści — otworzyć giełdę pieniężną i towarową, której celem będzie ułatwianie kupna i sprzedaży papierów, weksli. monet, złota i srebra niewybijanego, tudzież wszelkich innych towarów, naturalnie prócz panien na wydaniu i wdówek bez posagu, tudzież wszelkiego rodzaju ludzi upadłych płci obojej. — W projekcie statutu dla owej giełdy lwowskiej, który nam pisma codzienne w treści podały, nie stoi wprawdzie tak wyraźnie czarno na białem o tych pannach na wydaniu, ale łatwo się domyślić takich rzeczy, przeczytawszy o parę wierszy niżej spis osobistości wykluczonych od uczęszczania na giełdę, pomiędzy któremi jako najniebezpieczniejszą postawiono płeć żeńską. — Spodziewam się, że czytelniczki „Tygodnia" przekonane są o mojem szatańskiem oburzeniu na tak ubliżający projekt statutu, a ewentualnie na jego autorów. Nie idzie tu o rzecz samą, bo jestem przekonany, że kobiety nie chodząc na giełdę, jak zechcą mogą nią trząść niby starą gruszką z niedojrzałemi owocami, ale gdzież respekt dla płci pięknej, żeby ją postawić na samem czele wykluczonych, razem z bezwłasnowolnymi, upadłymi, z tymi co nie czynią zadość swoim zobowiązaniom (i to nie względem kobiet), wreszcie z tymi, którzy trudnią się giełdowemi plotkami... Prawda, że to jest zuchwalstwo nie do darowania, obraza, za którą płeć piękna potrafi się zemścić, odmawiając wszelkiej sympatji przyszłym giełdowiczom. Zobaczymy jak oni się obejdą bez was po za murami giełdy, i dlatego proponuję zebranie kobiecego wiecu, żeby przeciw takim bezprawiom stanowczo i otwarcie zaprotestować, a nawet czynnie wystąpić, jeżeli ci zuchwalcy nie zechcą się upokorzyć.

To jest strona towarzyska sprawy giełdowej, zobaczymy teraz pożytkową. Stan handlu i przemysłu galicyjskiego jest bezwątpienia w stadjum choroby, więc Bank rolniczy i giełda mają ich z tego wyleczyć, pierwszy dając zaliczki, druga ułatwiając sprzedaż. Ależ panowie szanowni, pieniędzy u nas nie brak, zapytajcie się ile ich spoczywa w kasach banków i innych kredytowych instytucyj? Już nie chcą przyjmować wkładek, a od tych, które są złożone płacą w stosunku trzech od sta na rok. Dalej, nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś mając do sprzedaży produkt, nie mógł znaleźć na niego kupca po cenach bieżących. Więc nie w tem leży przyczyna złego stanu gospodarstw wiejskich, ale w tem, że mało mają do sprzedania i że cena sprzedaży ledwie pokrywa koszta produkcji, a dla właściciela po opłaceniu ciężarów gruntowych nic nie zostaje. — Skoro więc stan ekonomiczny Galicji znajduje się w nienormalnym stanie, czyli że niedomaga, pytamy, czy wmuszanie w chorego żeby jadł koniecznie i tem jedzeniem siły zdobywał, usunie tę chorobę bez radykalnej wprzód kuracji właściwych części organizmu? Zamiast pożądanego zdrowia, chory może dostać niestrawności i oby nie taki był rezultat kuracji za pomocą banku i giełdy!

Jednakże, skoro rzecz jest postanowiona i bank jak się zdaje przyjdzie do skutku, zwracamy uwagę panów założycieli na wybór osób mających tą nową instytucją dyrygować. Od tych zależyć będzie powodzenie i użyteczność przyszłej instytucji, czego najlepszym dowodem jest Spółka Tarnopolska w zestawieniu z tylu upadłemi i dogorywającemi instytucjami komisowemi w Galicji i w innych częściach Polski. Zmarnowano krocie, pobudowano spichrze stojące pustkami i zrobiono fiasco. Drogo już kosztuje Polaków dyletantyzm handlowy; więc niechże raz pamiętają inicjatorowie nowego Banku, że nie instytucje służą dla osób, ale osoby dla instytucji, a znajomość handlu jest trudną i wymagającą specjalnej praktyki nauką, wymagającą zdolności fachowej i energji, a nie tytułu *Dr.* przed nazwiskiem.

Ankieta naftowa w Tarnowie do żadnych pozytywnych nie doprowadziła rezultatów z wiedeńskim Unionbankiem; choć o ile nas dochodzą wieści, propozycje ze srony banku były dosyć korzystne dla producentów. Widocznie bank liczy na to, że działając na tem polu zrazu nie obiecuje sobie żadnych prawie korzyści, lecz ma nadzieję rozwinąć handel naftą w ten sposób, żeby bez szkody producentów zapewnić sobie odpowiednie zyski. Wymaga minimalnej gwarancji, że wchodzący w umowę złożą do jego składów zbudowanych w Grybowie przynajmniej 20.000 beczek z bardzo umiarkowanem składowem, bo 10 centów od beczki na miesiąc. Zaliczki ofiaruje się dawać z procentem sześć, od sta a od sprzedaży przez siebie dopełnionej żąda 2% komisowego, nie tamując właścicielom prawa sprzedaży, skoro uznają to dla siebie dogodnem. Zdaje się przeto, że warunki są bardzo dogodne dla producentów, z których powinni korzystać, albowiem bank mając rozległe stosunki handlowe, nawet w taryfach kolejowych potrafi wyjednać pewne ulgi dla transportów nafty daleko łatwiej, niż to osiągnąć mogą sami producenci.

* * *

Już, już pogodzić mieliśmy się na dobre z Krakowem, gdy nowe nominacje na członków Izby panów troszkę poirytowały wielkości lwowskie.

— Cóż u licha — powiedział mi jeden znajomy, pretendent do wszelkiego rodzaju godności dygnitarskich, — ten Kraków wciąż będzie rozsadnikiem wielkich politycznych mężów? — Dunajewski na ministra, Wodzicki na gubernatora, Rapaport na syndyka, Zyblikiewicz, Szujski, Tarnowski na członków Izby panów, Szczepański na sekretarza — a od nas nikt. Ledwo się skończyła ta serja powołanych, znów czytamy, że p. Hilary Hankiewicz, profesor, idzie na radcę ministerjalnego — a od nas nikt... A toć tam niedługo zabraknie wielkich ludzi i będą musieli sprowadzać ich sobie chyba na model z zagranicy... Ot i ten pa Mien napisał niedawno, że krakowskie koniki polne trzymają berło naukowe w swych rękach...

Nie mogłem nic na to odpowiedzieć zadąsanemu kandydatowi na dygnitarza, ale przyszedł mi na myśl wykład naukowy o teorji i praktyce, który w obecnej chwili da się zastosować do Lwowa i Krakowa. My tu zbieramy ankietę za ankietą, robimy dużo hałasu, głowy sobie suszymy nad rozwiązywaniem tysiącznych kwestyj socjalnych, a Kraków siedzi przyczajony i bierze co się zdarzy, bierze i nie kwituje... Pod tym więc względem trochę omylił się pan Mien, bo w tym stosunku właściwie my jesteśmy skrzeczącemi konikami a Kraków mrówką, zbierającą skrzętnie zapasy na ciężkie chwile.

* * *

W Genewie wyszła w języku francuzkim broszura, opisująca obchód uroczysty, jaki się tam odbył w dniu 50-letniej rocznicy powstania listopadowego. O obchodzie tym wzmiankowały pisma nasze dość obszernie, lecz żadne nie podało najważniejszego może szczegółu, a mianowicie listu Karola Vogta, do Zygmunta Miłkowskiego. Karol Vogt, to powaga uznana przez cały świat naukowy — a nauka, to sprzymierzeniec potężny i pożądany.

List ten w przekładzie polskim brzmi jak następuje:

Genewa 27. listopada 1880.

Panie! — Nieskończenie żałuję, że być nie mogę na zebraniu waszem pamiątkowem, odnoszącem się do rewolucji polskiej 1830, tak nieszczęśliwie zgniecionej, dzięki spólnictwu kilku rządów despotycznych. Posiedzenie to pamiątkowem byłoby dla mnie samego, z powodu czysto osobistego, ponieważ pierwsze, 14-letniego chłopca wspomnienia wiążą się do sławnych bohaterskiej tej walki rozbitków, naprzeciw którym wychodziliśmy z powitaniem do bram miasta mego rodzinnego Giessen, w Hessji, celem odprowadzania ich do domów mieszkańców gościnnych, gdzie usiłowano osładzać im o ile można twarde losy wygnania. Wielu z nich pozostało w Giessen dla kontynuowania nauk. Pomiędzy domu mego rodzicielskiego przyjaciółmi wymieniam wam Lubańskiego i Stryjeckiego, którzy później zostali lekarzami, jeden w Nicy, drugi w Paryżu. W codziennem to z tymi nieszczęśliwymi ojczyzny swej obrońcami i z towarzyszami ich obcowaniu, zaczerpnęliśmy do despotycznych i na przemocy się opierających rządów tę co nas ożywia nienawiść.

Zechcij, panie, przyjąć wyraz spółczucia mego i miej mnie za szczerze wam życzliwego.

K. Vogt.

KORRESPONDENCJE.

Paryż w styczniu 1881.

Paryż, miasteczko, które dotąd miało reputację najhałaśliwszej stolicy w świecie, zasłużyło sobie obecnie na osobną kartę w rocznikach umiarkowania i spokoju.

Umarł Blanqui; naprożno krańcowi radykaliści starali się pogrzeb jego uczynić wielką demonstracją przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, naprożno rozwinęli wszelkie swoje siły, Paryż zachował się poważnie. Pogrzeb przeszedł najspokojniej w pośród ciekawych tłumów ludności, przejętej sympatją dla tego nieszczęśliwego starca, którego całe długie życie było walką przepełnione.

Nad grobem powiedziano mów kilka gwałtownych — zgromadzeni na cmentarzu *Père Lachaise* mów tych wysłuchali, posypały się oklaski, jak w teatrze i wszyscy powrócili do domu tak spokojnie po mowach jak i przed mowami.

Jeden z dzienników nazwał pogrzeb Blan-

qui'ego pogrzebem zaburzeń ulicznych, wyrażenie malujące poniekąd istotny stan rzeczy. Epoka walk ulicznych przeżyła swój czas i o ile się zdaje, zmarła bezpowrotnie.

Drugi fakt w tym samym rodzaju jest jeszcze bardziej zadziwiający. W tych dniach odbywały się w Paryżu wybory do Rady municypalnej. Ci, którzy pamiętają podobne wybory w r. 1869 lub 1876, nie uwierzyliby, że Paryż jest tem samem miastem. Na murach, pokrytych dawniej olbrzymiemi „wyznaniami wiary politycznej" dziś było zaledwie plakatów kilka. Stronnictwo republikańskie zwyciężyło ogromną większością i będzie prowadziło dalej pokojową pracę dla przyszłości.

Podobną pracę ma na celu międzynarodowe stowarzyszenie literackie, o którem niektórzy pozwalają sobie mówić z lekceważeniem, a które mimo to, śmiało i otwarcie prowadzi dalej dzieło braterstwa myśli.

Jednym z artykułów programu stowarzyszenia, jest łączenie i zapoznawanie literatur, czyli dawanie sposobności jednym, poznawania literatur innych narodów.

W tym celu w Paryżu otwarte zostały staraniem tegoż stowarzyszenia stałe konferencje, czyli odczyty, w których rozpowszechniać się ma znajomośc autorów mało znanych po za granicami swojej ojczyzny.

I tak Ludwik Ulbach przedstawił publiczności paryskiej Maurycego Jokaya, dr. G. M. Conrad rozebrał dzieło Pawła Lindau'a, a Baetzman dał poznać Bjornsteina-Biornsona, autora wielkiej epopei dramatycznej p. t. „Król."

Ale największe zajęcie wywołał jeden z profesorów Towarzystwa, Wł. Chodzkiewicz, który przez kilka godzin zachwycał słuchaczów opowiadaniem o życiu i dziełach J. I. Kraszewskiego. Jakkolwiek sala Towarzystwa pomieścić może zaledwie dwieście osób, przekonać się jednak było można jak Paryżanie a zwłaszcza Paryżanki ciekawi są rzeczy im nieznanych; to też wykład Chodzkiewicza przerywany był niezwykle gwałtownemi oklaskami.

Konferencje podobnej natury organizują się także w Berlinie i w Londynie, a na chwilę przyszłego kongresu międzynarodowego, który, jak wiadomo, odbędzie się w r. b. w Wiedniu, około 10. września, przygotowuje się również szereg odczytów o literatach zagranicznych.

Jest to ruch zdrowy i szlachetny, który nie wstrzyma się prędko. Jeden po drugim, wszyscy wielcy ludzie wszystkich krajów przedstawieni kolejno zostaną — jako goście oczekiwani i naród ukochani — myślicielom wszystkich narodowości. I zrozumieją powoli wszyscy, iż gdy myśl człowiecza jest zawsze jedną we wszystkich swych objawach, przeto i sumienie publiczne winno być wszędzie i zawsze jedno.

P....

TEATR.

Zeszłego piątku przedstawiono po raz pierwszy trzyaktową komedję T. Barriera, tłómaczoną z francuskiego p. n. *Gapie w miłości.* Tym razem poprzestajemy tylko na samym tytule, zaznaczając jego na wskróś niepoprawne tłómaczenie. Pominąwszy już, że grzeszy przeciwko duchowi języka polskiego, jest on tak niezrozumiały, że wymagałby osobnego komentarza. Zresztą zbyt cenimy naszych czytelników, abyśmy tu mieli powtarzać płaskie koncepta i odtwarzać drastyczne sytuacje pełną ręką czerpane z interesującej sfery pokojówek, szwaczek i jeszcze niższych warstw demi-mondu. Zaiste, rzadko o sztukę, któraby, pomimo zręcznej *roboty,* tak pozbawioną była wszelkiej przewodniej myśli a choćby nawet jakiej takiej umotywowanej treści. Jest to sobie zlepek ponaciąganych, gwałtem powiązanych z sobą facecyj, może nieraz chętnie opowiadanych w gronie wyłącznie męzkiem, zwłaszcza gdy słodki nektar Baccha w większej użyty ilości pieprznej wymaga przekąski; ale w każdym razie mniej chętnie widziany na scenie przez publiczność płci obojej. Publiczność nasza chociaż zepsuta, jak wszędzie, dzisiejszym kierunkiem sztuki(?) dramatycznej, przecież jeszcze nie upadła tak nisko, aby jej większość wymagała od teatru zrzeczenia się godności instytucji artystycznej i przedzierzgnięcia się natomiast w zakład uprawiający bezmyślną rozrywkę. Może kto, zgorszony kaznodziejskim tonem niniejszej recenzji, wtrąci uwagę w obronie rzeczonej farsy napozór słuszną, że przecież bardzo licznie zgromadzona publiczność na piątkowem przedstawieniu śmiała się do rozpuku — zapewne, lecz śmiech śmiechowi nierówny; podobnie śmiejemy się z clownów cyrkowych, argument ten zatem wcale jeszcze nie obala naszego zapatrywania.

Obracamy się gdzieś w błędnem kole. Wypaczony kierunek dzisiejszej sztuki dramatycznej sprowadził zdziczenie smaku w publiczności, której podniebienie raz połechtane, domaga się coraz korzenniejszej przyprawy. Czem dalej pójdziemy w tym kierunku, tem będzie gorzej, z krzywdą nareszcie dla samych artystów, którzy po tych stopniach schodząc z wyżyn sztuki na pole niesmacznej, wyuzdano wesołej farsy, staną się — proszę mi wybaczyć mitologiczny już dziś zwrot mowy — z kapłanów sztuki, exploatatorami bezmyślności ludzkiej. Gapie w miłości, jako farsa najniższej kategorji, upadłaby była niezawodnie, gdyby nie wyborna gra pp. Fiszera i Zboińskiego; tylko tym dwom artystom, a wcale nie swej osnowie, ani też literackiej wartości ma sztuka do zawdzięczenia jakie takie powodzenie. Role kobiece spoczywały bez wyjątku w rękach sił trziecio- i czwartorzędnych, co najlepiej charakteryzuje poziom całej farsy, skoro sama reżyserja uznała, że wprowadzenie sił wytrawniejszych na scenę byłoby niestosownem; inaczej, wobec tak licznego żeńskiego personalu nie możemy sobie takiej obsady wytłómaczyć. Bohaterką sztuki była więc tym razem p. Sułkowska, która grała ze zrozumieniem, za co nawet dość gęste zbierała oklaski. Wszystkie inne rólki tak blade i małoznaczne, że nie zasługują nawet na wzmiankę.

R. St.

NAGRODA DOCZESNA

przez

Bolesława Prusa.

Pan Paweł, adwokat, wrócił do domu z wesołego obiadu.

Była czwarta po południu, w dzień zimowy. Na ulicy śnieg, sypki jak pierze, leżał tak grubo, że tonęły w nim kalosze największego kalibru.

Niebo znikło, nad dachami zwieszały się chmury gęste, szare, bezładne. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, która nie znalazłszy dość miejsca na ulicach, wciskała się do kominów, do mieszkań, właziła przechodniom pod czapki, za kołnierze, w rękawy, nareszcie w płuca i mózg.

Zapewne skutkiem tego pan Paweł wrócił do domu, jak struty. Z niesmakiem wyobrażał sobie obiadową polędwicę, uczuł wstręt do indyka, a o szczupaku nie mógł myśleć. Gdy zaś przypomniał sobie dopiero co wypite wina węgierskie, szampańskie i hiszpańskie, wstrząsnął się...

Przeklęta wilgoć zepsuła mu obiad!

Adwokat był chory. Zdawało mu się, że w salonie jest zimno, choć do pieca nie można było ręki przyłożyć. Spojrzał na termometr: 15 stopni, więc zimno nie jest. Usiadł na fotelu i kiedy dotknął aksamitu, uczuł dreszcz.

Wziął się za puls — bije prędko. Wziął się za głowę — gorąca. Przy niepewnem świetle kończącego się dnia zajrzał w lustro i spostrzegł bladość na twarzy, a w oczach osłupienie. Uczuł znowu dreszcz, zawrót głowy, ból w kościach...

— Ej! czy to nie tyfusik? — mruknął.— Przeklęta wilgoć.

Zdjął surdut i włożył ciepły szlafrok. Pomyślał o pomocy lekarskiej, ale na nieszczęście służącego nie było. Uzbroił się więc w cierpliwość — i — legł na szeslągu w salonie.

Spojrzał w okno. Na dworze padał w tej chwili śnieg coraz większemi płatami. Z początku wyglądały one, jak podarte papierki, później dosięgły wymiarów kokardy balowego krawata, potem stały się tak wielkie jak — chustki do nosa.

Pan Paweł przetarł oczy: płaty śniegu zmniejszyły się, ale po upływie minuty były większe od prześcieradła.

A jak gęsto sypały! Na ulicy o ćwierć łokcia nie można było odróżnić dorożki od milicjanta. Ogromne tumany śniegu kręciły się, wzlatywały w górę, biegły poziomo. Niekiedy wiatr je rozdzierał, a wówczas zdawało się, że opada jakaś biała kurtyna, po za którą widać ciemną głębię ulicy, zaśnieżone dachy i światła w oknach.

Ale adwokata już nie drażnił ten posępny widok.

Owszem pan Paweł był spokojniejszy. Opuściły go dreszcze, a na plecach uczuł ciepło. Kości bolały go mniej, puls był wolniejszy, zawrót głowy ustąpił. Pozostało tylko przyjemne znużenie: w nogach, rękach, w całem ciele. Stopniowo znużenie to dosięgnęło palców i włosów, rozlało się po szlafroku, ogarnęło nawet szesląg — i — pan Paweł zaczął marzyć...

Marzył o tem, że na dworze jest lato, że on sam jest uosobionem zdrowiem, że wina hiszpańskie szkód organizmowi nie przynoszą... Następnie majaczyło mu się, że poobiedni sen jest cudownym wynalazkiem i że by był już czas znaleźć sobie towarzyszkę życia.

W ciepłym szlafroku, na szeslągu, pan Paweł czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy. Zdawało mu się, że słyszy szelest skrzydeł Morfeusza i gotów był założyć się o wielką sumę, że najmilszą rozkoszą na ziemi jest sen po obfitym obiedzie — z winem.

Na dworze wilgoć stała się bardziej przejmującą, a śnieg padał gęściej niż dotychczas.

Gdy pan Paweł, już ostatni raz, otwierał powieki, ażeby je zamknąć na parę godzin, w tej chwili w salonie rozległo się dzwonienie ciche, delikatne. Nastała przerwa, dzwonek po raz drugi zaczął się chwiać i znowu zadźwięczał — jeszcze delikatniej.

— Złodziej! — pomyślał pan Paweł, nie ruszając się.

Było mu tak przyjemnie na sprężystym szeslągu, że nie drgnąłby, gdyby go zbójcy napadli.

Dzwonek znowu zachwiał się.

— Nie, to nie złodziej. To ktoś, co nieśmiało dzwoni. Pewnie jaki nieszczęśliwy interesant... Niech go licho porwie!...

Znowu zadzwoniono.

— Kto załatwia interesa na taką zawieruchę? — myślał pan Paweł. — Zapewne ktoś będący w wielkim kłopocie. Ale jaką ja mu dam radę, kiedy mi się tak spać chce?...

I znowu zadzwoniono.

— Ten nudziarz musi mieć djabelnie ważną sprawę, naturalnie własną; bo gdyby o mnie chodziło, dzwoniłby jak na wielkanoc.

Boże! jak mi się spać chce... Jakim ja znużony!... Dałbym mu dziesięć rubli żeby sobie poszedł...

Ale ponieważ interesant nie odszedł, a pan Paweł miał dobre serce, więc zakląwszy w duchu na czem świat stoi, podniósł się i otworzył drzwi.

Na progu stał jego znajomy — pan Gaweł — ubrany (na taką zawieruchę!) w lekki paltot i szapoklak. Zobaczywszy pana Pawła, gość otrząsnął się ze śniegu jak pies, i pokornie zdjął kapelusz. Ręka, którą podał Pawłowi, była zimna, zmoczona śniegiem, skostniała.

Pan Paweł wprowadził Gawła do salonu; gdy zapalił świecę, spostrzegł, że przybysz ma ubranie podszarzane, twarz chorą, a w oczach rozpacz.

Pawłowi ścisnęło się serce. Pomyślał, że jego znajomy musi być w wielkiej biedzie i że trzeba mu dać kilkanaście rubli. Zrobiwszy tak szlachetne postanowienie — ziewnął i obejrzał się na swój szesląg, na którym jeszcze znać było dołek wytłoczony przez leżenie.

— Ratuj mnie pan! — odezwał się gość, bez żadnych wstępów; — jestem w takiej nędzy, z żoną i dziećmi, że jeżeli nie znajdę pomocy, zabiję się...

— Ile panu potrzeba? — zapytał adwokat, zasłaniając usta ręką. — W tej chwili nie umiałby powiedzieć, co było gorszem: czy nędza Gawła, czy jego senność.

— Nic mi nie potrzeba — odparł Gaweł.— Pieniędzy nie przyjmuję, chcę pracy... Pomimo rozpaczliwego położenia rozumiem, że jałmużna upodli mnie tylko, nie zbawi. Pracę daj mi pan, pracę!...

Gość był tak wzruszony, że się trząsł. Zacierał sine ręce i chował je pod surdut, a w oczach pokazały mu się łzy, które napróżno usiłował powstrzymać.

Rozmarzonemu Pawłowi przypomniało się, że w czasie obiadu pewien znajomy, przemysłowiec zapytywał go: czy nie może mu zarekomendować zdolnego buchhaltera a zarazem korespondenta? Gaweł był takim, mógł dostać posadę i tysiąc rubli pensji...

Należało jednak śpieszyć się, bo pytanie to słyszeli inni współbiesiadnicy, a w Warszawie konkurencja jest wielka.

Spieszyć się, to znaczy jechać natychmiast, wyrzec się snu, który morzył Pawła i narazić się na wilgoć, która mogła nabawić go kataru.

Strach — jak nie chciało się adwokatowi porzucać szlafroka, ciepłego mieszkania i szeslągu, który ciągnął go jak magnes żelazo. Ale pan Paweł miał miękkie serce, więc...

Ziewnął kilka razy, przebrał się — i — pojechał z Gawłem. Stracił poobiedni sen, dostał kataru, bolu głowy, lecz — biedakowi wyrobił posadę.

Gaweł był olśniony. Dziękował Pawłowi w imieniu swojej nieszczęśliwej rodziny, nazywał go dobrodziejem, zbawcą i oświadczył gotowość do oddania mu własnego życia.

— Mała rzecz! — odpowiedział Paweł. — Ale żebyś pan wiedział, jak mi się spać chciało!...

Zdanie to głęboko utkwiło w sercu Gawła. Znał on życie i wiedział, że sen jest przyjemnością a wyrzeczenie się jego — ofiarą niegorszą od innych.

Od tej chwili w każdej porze dnia myślał o jednem: aby — jeżeli nie wynagrodzić Pawłowi za jego poświęcenie, to przynajmniej okazać mu, że odczuł jego szlachetną ofiarę, i płaci wdzięcznością...

Myśl ta zaprzątała mu głowę przez pół roku. Chodziła za nim po mieście, zasiadała przy biurku, jadła z nim obiad, kładła się obok niego w łóżko. Aż Gaweł zesmutniał, a żona poczęła obawiać się o jego wątłe zdrowie.

Tymczasem Paweł widząc, że siwizna poczyna mu bielić włosy, coraz goręcej zajmował się projektem wejścia w związki małżeńskie. Z dnia na dzień większe wrażenie robiły na nim kobiety i z pewnością ożeniłby się już kilka razy, gdyby nie — fatalna nieśmiałość. Pomimo wiary w siebie, dobrych chęci i licznych stosunków, pan Paweł trwał wciąż w grzechu kawalerstwa, bo — nie umiał się oświadczyć.

Szczególniej wpadła mu w oko pewna wdówka młoda, przystojna i majętna, która także miała gust do pana Pawła. Z nim rozmawiała najczęściej, u niego zasięgała rad w kwestjach dotyczących majątku. A widząc że adwokat jest nieśmiały, z kobiecą zręcznością zachęcała go do oświadczyn. Paweł rozumiał te manewra, nabierał ducha, kochała się coraz namiętniej, lecz ile razy, w czasie pogadanki, zrobił znaczącą pauzę i odchrząknął, ażeby oświadczyć się, strach paraliżował mu język...

Nareszcie pani ta, nie chcąc już dźwigać nieznośnego ciężaru wdowieństwa, zwróciła część względów do pewnego majętnego kupca, który miał odwagę za trzech adwokatów i oświadczał się co tydzień — bez skutku.

I stało się, że od tej pory kupiec coraz widoczniej postępował w łaskach, pan Paweł tracił dawne względy, a wdówka drobnym ale pewnym krokiem zbliżała się do — powtórnej zmiany stanu.

Swoją drogą, żal jej było adwokata, więc zdecydowała się na ostatnią próbę. Poszła sama do jego mieszkania z prośbą o wydobycie pewnej sumy pieniędzy, ulokowanej na hipotece.

— Po co się pani śpieszy? — spytał adwokat — lokacja jest pewna, procent dobry, niech więc suma leży — choćby do końca świata.

— Co mi z tego, kiedy ja gotówki potrzebuję! — odparła wdowa.

— Na co? — szepnął pan Paweł.

Pani zarumieniła się, ale rzekła bez wahania:

— Wychodzę za mąż!...

Pan Paweł zbladł. Zaczął przewracać papiery leżące na biurku, odchrząknął i... nagle ujął damę za rękę.

— Pani! — rzekł — czy zamiar pani jest nieodwołalny?

— Co do podniesienia sumy — tak.

— A co do oddania rączki swojej... temu...

— To zależy!... — odparła dama, patrząc na adwokata z nieudaną życzliwością.

Pan Paweł zrobił postanowienie. Pocałował damę w zgrabną rączkę, klęknął u jej nóg i rzekł:

— Pani!... Od roku pragnąłem...

W tej chwili ktoś mocno szarpnął za dzwonek — raz, drugi i trzeci...

Wybiegł lokaj z przedpokoju, ruszyli się dependenci w kancelarji.

Ktoś dzwonił, jak na podniesienie.

— A niechże was djabli porwą! — zaklął adwokat, powstając na równe nogi.

Dama także podniosła się z fotelu, blada, z okiem błyszczącem. Pozycja jej stała się śmieszną.

— A zatem — rzekła stanowczym głosem — proszę pana — o wydobycie mojej sumy. Gdyby zaś robiło to panu trudności, w takim razie osobiście sprawę załatwię.

I wyszła, a pan Paweł został na środku pokoju jak żona Lota, która zamieniła się w słup soli.

W przedpokoju piękna wdowa minęła się z Gawłem, który przyszedł do adwokata we fraku i białych rękawiczkach. Za nim posłaniec niósł pod pachą spore zawiniątko.

Pan Paweł przyjął swego protegowanego z lodowatą obojętnością. Ale Gaweł nadto był wdzięczny, ażeby podobnemi drobiazgami mógł się zrażać.

— Panie adwokacie! — rzekł Gaweł. — Przed dziewięcioma miesiącami przerwałeś pan sen, ażeby zrobić mi łaskę. Dziś zrób mi drugą łaskę i — przyjmij ten mały dowód nigdy nie wygasłej wdzięczności.

To mówiąc wziął od posłańca zawiniątko, wydobył z niego śliczną aksamitną poduszkę i uroczyście doręczył ją Pawłowi, z którego o mało życie nie uciekło.

— Z tej strony — mówił Gaweł — wyhaftowane jest to...

Adwokat przeczytał na poduszce napis:

Pamiątka przerwanego snu. Dnia... roku...

— A z tej strony — mówił dalej Gaweł, odwracając poduszkę — jest to...

Pan Paweł przeczytał:

Cnota bywa niekiedy wynagradzana i w tem życiu.

— Ach! — westchnął adwokat, gorzko żałując, że jego cnota nie została wynagrodzona dopiero w życiu przyszłem.

Swoją drogą Gawłowi ciężar spadł z serca. Wrócił do domu bardzo kontent i, zdejmując frak, mówił do żony:

— Miło mi, że przynajmniej tym sposobem okazałem zacnemu Pawłowi moją wdzięczność!...

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Borkowski Dunin hr.* Rocznik I. szlachty polskiej. 8-ka str. 621. Lwów 1881. Oprawny 5 złr.

— *Buszczyński Stefan.* Anarchja polska i cesarz Józef II. Wspomnienie historyczne. 8-ka str. 46. Lwów 1880. 25 ct.

— *Carriere Maurycy.* Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku. Epoka rozwoju ducha i ideały ludzkości, przekład z drugiego wydania niemieckiego uzupełniony poglądem na poezję polską w XIX stuleciu skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. 2 części, 2 tomy, 8-ka, str. 387 i 330. Warszawa 1879. 1880. 4 złr. 80 ct.

— *Chmielowski Piotr.* Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, zarys literacki. Wydanie drugie. 8-ka, str. 304. Warszawa 1881. 1 złr. 50 ct.

— *Czerkawski Euzebiusz.* Uwagi o nauce języka niemieckiego w gimnazjach i szkołach realnych, z językiem wykładowym polskim i ruskim. 8-ka, str. 114. Lwów 1880. 80 ct.

— *Danilewski Grzegorz.* Dziewiąta fala. Powieść 3 tomy. 8-ka, str. 177. 194. 198., przełożył z rosyjskiego Józef z Sieniawy. Warszawa 1880. 3 złr. 20 ct.

— *Kraszewski J. I.* Przygody Pana Marka Hińczy. Rzecz z podań życia staroszlacheckiego spisana. 8 ka, str. 312. Warszawa 1881. 2 złr. 25 ct.

— *O powinnościach matek* i wpływie, jaki ze swego stanowiska na społeczeństwo wywierać mogą przez „Lusławę", autorkę powieści ludowych. 8-ka, str. 328. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Petrarki* pieśni, przekład Felicjana (Faleńskiego) objaśnieniami i przypisami opatrzony. 8-ka, str. 298. Warszawa 1881. 4 złr. 80 ct.

— *Potocki Wacław.* Wojna chocimska, poemat w 10 częściach. Merkurjusz nowy. Pełna. Perjody. Wiersze drobne. 8-ka str. 458. Warszawa 1880. 2 złr. 25 ct.

— *Przypowieści,* legendy i myśli z Talmudu i Midraszu spolszczone przez Dawida Rundo. 8-ka, str. 200. Warszawa 1880. 1 złr. 60 ct.

— *Radliński I.* Język assyryjski w rodzinie języków semickich. Studjum historyczno-lingwistyczne. 8ka. str. 59. Warszawa 1880. 1 złr. 50.

— *Robinson szwajcarski* podług J. Stahla, przełożył Jan Chęciński z 12-ma rycinami, wydanie drugie. 8-ka, str. 488. Warszawa 1881. 2 złr. 25 ct.

— *Straszne skutki* zaniedbanego wychowania powiastka (ludowa) przez Lusławę. 8-ka, str. 61. Warszawa 1880. 25 ct.

— *Stroka Henryk.* Praktyczny przewodnik do udzielania początkowej nauki na podstawie elementarza. Część I. Pierwszy rok nauki. 8-ka, str. 152. Rzeszów 1881. 80 ct.

Wieczór u hrabiego X., napisał B. R. 8-ka, str. 25. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Wierzbicki Stanisław.* Z życia. Dramat w IV aktach. 8-ka, str. 150. Warszawa 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Żywoty Świętych* pańskich starego i nowego testamentu z dzieła księdza Piotra Skargi, skrócone i zastosowane do użytku osób wszelkiego stanu i wieku przez Ap. C. tom VI (ostatni). 8-ka. str. 441. Warszawa 1880. 7 złr. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** P. Otto Hausner, ma zamiar tłómaczenia powieści „Autora Kłopotów starego komendanta" (Alberta Wilczyńskiego) na język niemiecki, a to dla sparaliżowania literacko-politycznej propagandy oszczerczej, którą prowadzą tacy Francosy i Sacher-Masochy. Nie wątpimy, że głośne szeroko w Europie nazwisko Szan. posła — tem prędzej cel zamierzony osiągnie.

*** Album artystów i literatów krakowskich na korzyść Zagrzebia, wkrótce wydane zostanie.

Pierwszy arkusz odbija się już w zakładzie litograficznym Pruszyńskiego.

Zawiera on prześliczne rysunki i autografy artystów i pisarzy wyłącznie krakowskich.

Częścią literacką kierują Kossak i ks. Polkowski, literacką Asnyk.

Album obejmuje trzy do czterech arkuszy.

*** Dowiadujemy się z listu adresowanego do nas przez „Koło polskie" w Pradze, iż w łonie stowarzyszenia powstała myśl wydania „Antologji polskiej dla Czechów."

Zawiązana tym celem czesko-polska komisja literacka, złożona z dziennikarzy i redaktorów czeskich pod przewodnictwem prezesa „Koła", F. Chojńskiego, postanowiła na posiedzeniu z d. 4. b. m. natychmiast przystąpić do gromadzenia materjałów.

Antologja zawierać będzie cykl twórczości naszej od najdawniejszych czasów, aż do chwili obecnej i składać się ma z dwóch działów: lirycznego i epicznego.

Prezesa zobowiązano, aby w przeciągu miesiąca zebrał i zestawił materjał oryginalny, który następnie celem przekładu ma być rozdany właściwym osobom.

W ciągu zimy bieżącej tłómaczenie ma być dokonane.

*** W ostatnim roczniku wiedeńskim „Die Dioskuren", znajduje się przekład „Nocy letniej" Krasińskiego.

Pracy tej dokonał wzorowo znany i ceniony tłomacz Henryk Blumenstock.

*** „Dziwadła" Kraszewskiego w przekładzie czeskim ukazały się w rocznikach Maticy.

F. L. Hovorka starannie dokonał tłómaczenia pod kierunkiem autora.

*** „Illustrazione italiana" daje w ostatnim numerze rycinę, przedstawiającą ostatnie dzieło ziomka naszego Wiktora Brodzkiego.

Jestto Wenus schodząca do kąpieli i wpatrująca się z zachwytem na parę gołąbków gruchających miłośnie.

„Illustrazione" chwali naszego artystę gorąco, podnosząc głównie zasługę ożywienia tematu tak spowszedniałego.

*** Nowa sztuka Aleksandra Dumasa „Princesse de Bagdad" przedstawioną zostanie w drugiej połowie b. m. w teatrze Komedji francuskiej.

*** Paryski Figaro podaje w swym „Almanachu" na rok 1881 następujące cyfry o sobie samym.

Figaro drukuje rocznie 30,000.000 egzemplarzy.

Personal tego najpoczytniejszego pisma bulwarowego składa się z 50 redaktorów, 30 zecerów, 25 drukarzy, 20 urzędników administracyjnych, 8 urzędników ekspedycyjnych, 12 sług biurowych, 170 oficjalistów najrozmaitszego rodzaju, ogółem 315 osób, które pobierają 800.000 franków rocznej pensji.

Czysty dochód w roku 1872 wynosił 655.654 fr. 35 cent., a w roku 1879 — 1,894.991 fr. 90 centymów.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W Krakowie odbyło się doroczne posiedzenie Towarzystwa lekarskiego, na którem wybrano na rok bieżący dr. H. Jordana na prezesa, dr. S. Domańskiego na wiceprezesa. Do komisji redakcyjnej „Przeglądu lekarskiego" powołano: prof. Oetingera, Rydla, doc. Pareńskiego i dr. Wasilewskiego; zaś z ramienia Towarzystwa lekarskiego galicyjskiego: doc. Grabowskiego i dr. Kwaśnickiego. Redaktorem mianowano prof. Blumenstocka, a sekretarzem dorocznym dr. Balickiego.

*** Pisma warszawskie ogłaszają list następujący:

Wykopalisko siedlikowskie, o którem donosiłem, składające się z 372 srebrnych pieniążków rzymskich, dwóch pięknych fibuli, kawałka srebra i t. d.; świadczące o handlowej drodze Rzymian przez kraje te, jest z woli posiadacza do nabycia za nadzwyczaj umiarkowaną cenę, prawie kruszcu nie przechodzącą, rs. 150.

Ażeby je zbiorom krajowym zachować w całości, wartoby było, by się zgłosił kto o nie... inaczej przejdzie w ręce obce.

Periculum in mora.

J. I. Kraszewski.

*** Koncerta w szpitalach.

Szlachetna myśl zastosowania muzyki jako środka leczniczego urzeczywistnia się zwolna w Anglji.

Sekretarz „Kyrle Society" zawiadamia wszystkich interesujących się sprawą szpitali, iż czynią się obecnie próby, mające na celu użycie muzyki jako środka rekreacyjnego dla pacjentów i że tożtowarzystwo gotowe jest oddawać pod rozporządzenie dyrekcyj tych instytutów małe kapele.

Plan ten wykonany został naprzód w szpitalu w Leeds z niezmierną radością miejscowych chorych.

Obecnie podobne próby przeprowadzone też zostaną w jednym albo dwóch szpitalach londyńskich.

*** W Berlinie z wiosną rozpoczętą zostanie budowa zakładu dla idjotów, obliczona na 250.000 marek.

*** Ślady Chalvaricum w Hiszpanji.

W średnich wiekach był zwyczaj urządzania tańców na cmentarzach kościelnych.

Uroczystości te nie miały charakteru zabawy ale obrzędu.

Władza duchowna zniosła ten zwyczaj w XVI wieku, pomimo tego przetrwał długo jeszcze w różnych okolicach.

Łukasz Gołębiowski zaznacza jego ślady na Litwie w połowie zeszłego wieku.

Obecnie, 8. grudnia corocznie, odbywają się tego rodzaju tańce w katedrze sewilskiej.

W zeszłym roku występowało tam 12 chłopców, przybranych w jedwabne stroje, którzy przed ołtarzem Madonny wykonali menueta przy dźwiękach świetnej orkiestry.

*** W Berlinie za kilka tygodni otwartą zostanie pomiędzy Berlinem a Lichterfeldem kolej elektryczna, pierwsza w świecie; dzieło to przeprowadzone zostanie własnym kosztem wynalazcy, p. Wernera Siemensa.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.